

W niebie na mnie nie czekają

Kiedy wrócił ze szpitala ważył 53 kg, przy wzroście 183 cm. Właściwie zniknął. – Sam siebie nie poznawałem – mówi Witold Wójcik z Krakowa. – Wyglądałem jak własny cień. Musiałem nauczyć się żyć od początku.

– Życie pana gniotło?
– Raczej nałogi. Alkoholizm.

– Ile lat?
– Dwanaście.

– Coś jeszcze?
– Papierochy.

– Jak długo?
– Ho, ho, ho albo jeszcze dłużej. Zaczęłem palić w wojsku, czyli w wieku 20 lat.

– A czemu taki fajny facet jak pan tak się zapuścił?
– Różne były tego przyczyny. Ale nałogi to wynik słabej psychiki.

– I życie nie jest takie, jak byśmy je sobie wyobrażali?
– Nie wolno zwałać niczego na życie. Bardzo realnie patrzę na świat. Jak ktoś mówi, że musi zapalić, bo się zdenerwował, to jest idiota. Niech lepiej przestanie się usprawiedliwiać przed sobą.

– Na ile nałogi komplikowały panu życie?
– Wszystko widziałem w szarościach. Teraz życie nabrało kolorów. I w pracy, i w życiu osobistym. Bo moją dewizą, generalnie, jest uśmiech. Nie ma na świecie niczego, co by mnie na dobre zmartwiło, no może czyjaś krzywda.

– Ale takie nałogi bywają uciążliwe dla rodziny pijącego...
– Wygląda to tak, że wszyscy się martwią, tylko nie ten co pije. I to jest straszne.

– Co musiało się stać, żeby pan przestał pić?
– Trzeba spaść na dno i odbić się od niego. To najlepsza metoda. Kiedy

się odbiłem? Nie pamiętam. W nałóg wpada się nie wiedząc o tym. Wychodzi się też nieświadomie. Potrzeba determinacji, trzeba dojrzeć.

– Ile pan miał lat, kiedy pan dojrzał?
– 45.

– To jeszcze miał pan trochę czasu, by wszystko zacząć od nowa. Inni dopiero nad grobem się reflektują...
– W podjęciu decyzji pomogły mi moje wzloty i upadki zdrowotne. Trzy miesiące spędzone w szpitalu. Marskość wątroby. Półtora miesiąca nie funkcjonowała w ogóle.

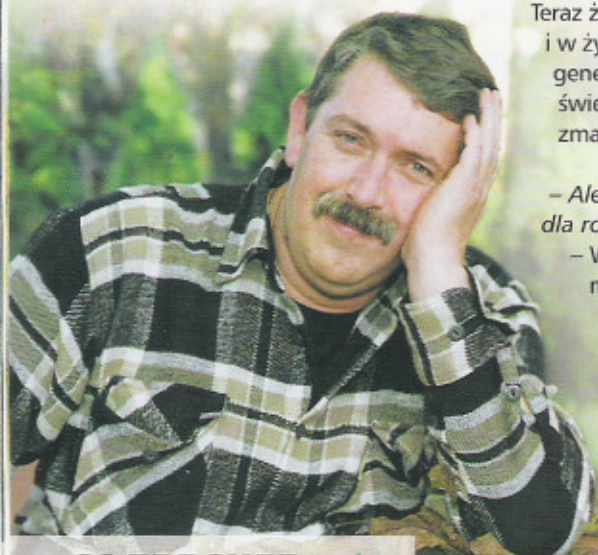
– Jakie objawy?
– Fatalne. A jakie mają być, gdy przestaje funkcjonować pracownia chemiczna organizmu?

– Ktoś dawał panu jakieś szanse?
– Nikt. Żadnych. Bo to jest w ogóle nieuleczalne. O tyle można z tego wyjść, gdy konsekwentnie podchodzi się do leczenia i gdy człowiek stara się sobie pomóc. Wtedy tę walkę z chorobą czasem się wygrywa. A prawda jest taka, że wszystko zależy od Pana Boga... Co nam przeznaczone, to nas nie minie.

– Miał pan jakiś cel, żeby tak się za siebie wziąć?
– Rodzina. I dwanaście osób, które zatrudniam w zakładzie. Za które odpowiadam. To był mój cel.

– Wrócił pan ze szpitala, i co?
– I ważyłem 53 kg, przy wzroście 183 cm. Można powiedzieć, że zniknąłem, bo jakby mnie pół ubyło...

– Ktoś pana jeszcze rozpoznawał na ulicy?
– Ja sam nie bardzo siebie rozpoznawałem... Wyglądałem jak własny cień. Musiałem od początku nauczyć się



chodząc i jeść. A rehabilitant dawał mi trzy lata na powrót do jakiegokolwiek sprawności fizycznej. Tymczasem wyszedłem z tego po sześciu miesiącach.

– I co?
– No i żyję.

– Alveo jak się pojawiło w domu?
– Hanusia, moja siostra, mi to wciśkała. Namawiała, namawiała... No i dałem się przekonać. Ja generalnie jestem przeciwny wszystkim środkom farmakologicznym. Medycyna ludowa, to dziś dla mnie podstawa. W ogóle zdrowe życie.

– Jakąś dietę pan trzyma?
– Żadnej.

– Ale lekarze jakąś zalecili?
– Dieta pod tytułem woda i smak. Plus brak apetytu. Ja wszystkim zalecam taką dietę, żeby spożywać to, na co ma się ochotę, tylko w rozsądnych ilościach. Bez obżarstwa. Od stołu wstawać z niedosytem.

– Ile dawek Alveo pije pan?
– Jedna miareczka dziennie od 2002 roku. Sporadycznie. Od roku regularnie. Wcześniej też piłem, ale to nie była kuracja długofalowa. Siostra mówi, że Alveo działa na wszystko. A ja jej odpowiadam, że to nie tak. Ten preparat jest zespołem elementów i ziół, które na pewno pozytywnie oddziałują na organizm. Oczyszczają, tonizują, wspomagają.

– Jak czuje się pan dziś?
– Cudownie! Wątroba wróciła na swoje miejsce. Do normalnych rozmiarów. Miałem też żylaki w przewodzie pokarmowym. Zniknęły! A były niebezpieczne, gdyby pękły, nastąpiłby wewnętrzny wylew. I jeszcze jedna poprawa – żyła wrotna, która miała 16 mm, zmniejszyła się do 9.

– Co na to lekarze?
– Pochorowali się, jak zobaczyli moje wyniki... Wciąż zastanawiają się, jak to możliwe, że ten facet jeszcze żyje. I wygląda jak wygląda.

– No to wygrał pan życie.
– Nie pierwszy raz. Kilka lat temu miałem zaawansowaną gruźlicę. Wyszedłem z niej po czterech miesiącach. Marskość wątroby nie wyniknęła



z alkoholizmu, ale z dawki leków, jakie mi wtedy zaserwowano. Ale uratowałem to płuco.

– Tam, na Górze, chyba lubią pana...
– Wciąż tu jestem, bo może nie chcą tam takiego zadymiarza jak ja.

– No to może pana nie lubią?
– Generalnie pewnie boją się zadymy. Bo ja nerwus jestem...

■ Rozmawiała: Zofia Rymaszewicz

